

Tamatawa, dnia 18 grudnia 1980 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!  
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Sto dwadzieścia dni trwał nasz pobyt w Paryżu, mający na celu przede wszystkim naukę języka francuskiego. Na wizę malgaską czekaliśmy prawie trzy miesiące i chyba nie otrzymalibyśmy jeszcze, gdybym nie powiedział, że już mamy zarezerwowane miejsce w samolocie na Madagaskar. Wreszcie w środę, w dniu trzeciego grudnia, w dzień poświęcony Świętemu Franciszkowi Ksaweremu, Patronowi Misji Katolickich, o godzinie 17,55, nasza czwórka weszła na pokład samolotu Boeing 747 i o godzinie 18,30 samolot rozpoczął kołowanie na pas startowy. Po godzinie lotu wylądowaliśmy w Marsylii, w biskupiej stolicy Błogosławionego Eugeniusza de Mazenod, Założyciela naszego Zgromadzenia. A gdy nowi pasażerowie weszli do samolotu, wkrótce opuściliśmy ziemię Francji i Europy. O godz. 3,20 przelatywaliśmy nad Równikiem, którego nie mogłem zobaczyć z powodu ciemności mimo miejsca zajętego w wygodnym fotelu przy oknie.

Dla wyrównania czasu posunęliśmy nasze zegarki o dwie godziny do przodu. Około godziny 9-ej za oknem ukazał się górzysty ląd pokryty zielenią z wielkimi czerwonymi płatami. Nic dziwnego, że Madagaskar jest nazywany „Czerwoną Wyspą”. W czwartek, dnia 4 grudnia 1980 roku, o godzinie 10<sup>20</sup> samolot dotknął ziemi malgaskiej. W holu dworca lotniczego przywitał nas Ojciec Franciszek, który wszedł tutaj dzięki specjalnej przepustce (i znajomościom) włoskiego księdza. Ten pomógł nam wypełnić wszystkie formularze, pozanosił je dokąd trzeba i ułatwił kontrolę celną, która dzięki niemu nie była surowa.

Zanieśliśmy nasze bagaże do samochodu stojącego na rozległym parkingu przed dworcem lotniska i po raz pierwszy zobaczyliśmy stolicę Madagaskaru, Antananarivo, zwaną w skrócie Tana, a na polskich mapach znajdziecie jej nazwę w polskiej pisowni Tananarywa. Słowo „Antananarivo” znaczy „tam, gdzie wieś tysiąca”, domyślnie: mieszkańców, czyli bardzo duże miasto, skoro jest tysiąc w nazwie. Jest też inne wyjaśnienie nazwy. Kiedy król zmieniał miejsce swej stolicy, do nowej zabrał ze sobą tysiąc żołnierzy. Ulice wydały nam się wąskie, zatłoczone, pełne dziur w asfalcie, domy brudne, niskie, najwyżej piętrowe, a wszędzie prymityw, nieporządek. Przejazd 17 kilometrów z lotniska do centrum miasta zajął nam pół godziny.

Administracyjny budynek Sekretariatu Episkopatu Malgaskiego zrobił już lepsze wrażenie. Każdemu z nas przydzielono pokój z nazwiskiem jednego z malgaskich biskupów (Ojcu Marianowi przypadł pokój biskupa z Tamatawy), w którym mogliśmy się umyć i ogolić po 14-godzinnym locie. Odświeżeni rozpoczęliśmy obiad w licznym gronie, w miłej i serdecznej atmosferze. Wśród misjonarzy zapoznaliśmy polskiego Lazarystę, Ojca Waldemara. Po obowiązkowej w tropiku sjeście odprawiliśmy pierwszą na malgaskiej ziemi Mszę Świętą, oczywiście po polsku, ze śpiewem polskich pieśni adwentowych. Potem nasze grono powiększył jeszcze jeden Polak pracujący tu od dwóch lat jako profesor na tutejszym Uniwersytecie.

Po kolacji już w piątkę udaliśmy się na znane nam lotnisko i o godz. 20,40 (czyli z dziesięciominutowym opóźnieniem) rozpoczął się nasz trzydziestominutowy lot do Tamatawy, który trwał 45 minut na niskiej wysokości. Bezpośrednio po starcie, w trosce o bezpieczeństwo pasażerów, korytarzem między fotelami setki pasażerów samolotu Boeing 737 przebiegła stewardesa, aby poinformować pilota, że przy zamkniętych, ale nie zablokowanych tylnych drzwiach powietrze wychodząc z kabiny na zewnątrz samolotu wydaje charakterystyczny świst. Ja siedziałem w przedniej części samolotu i świstu nie słyszałem, ale widziałem niepokój na twarzach niektórych pasażerów. O przyczynie przedłużającego się lotu dowiedziałem się dopiero w Tamatawie.

W holu lotniczego dworca pomimo późnej godziny powitała nas dwudziestka misjonarzy na czele z Księdzem Biskupem Jerôme Razafindrazaka, którego spodziewaliśmy się powitać dopiero w domu. Były też liczne siostry zakonne, chociaż niektórzy znaleźli się tutaj przypadkowo żegnając misjonarki i misjonarzy odjeżdżających na urlop do Europy. Przywitanie

było jednak bardzo uroczyste. Ojciec Franciszek wsiadł do jednego z licznych samochodów, zaś Ksiądz Biskup osobiście chciał zawieźć swoim samochodem nas czterech nowoprzybyłych, a ze sposobu palenia fajki widać było, że jest zadowolony. Pierwsze wrażenie? Byłem jeszcze w garniturze i odczułem dużą wilgotność powietrza jadąc ulicą między palmami oświetlonymi reflektorami samochodu, wzdłuż Oceanu Indyjskiego. Problemem okazało się, jak w Paryżu, łóżko: jak założyć moskieterę pod materac, aby jakiś komar nie dostał się do naszej skóry.

Z miejsca ułożyliśmy plan dnia i nareszcie poczuliśmy się znów zakonnikami. Rano o godzinie 6-ej koncelebrowaliśmy Mszę Świętą po francusku, w południe wspólne modlitwy, również wieczorem nieszpory, a także cząstka Różańca podczas półgodzinnego „obowiązkowego” spaceru po plaży z moczeniem nóg w Oceanie Indyjskim: spodnie podwinięte do kolan, sandały w jednej, różaniec w drugiej ręce, stopy obmywane przez fale. Misjonarze wykorzystali nasz pobyt w biskupim mieście, chcąc nas obejrzyć, nas pokazać innym i nam się też pokazać.

W niedzielę, dnia 7 grudnia, w Katedrze, koncelebrowaliśmy Mszę Świętą dla Chińczyków, słuchając po chińsku śpiewów i Słowa Bożego, łącznie z kazaniem, odmawiając inne modlitwy po francusku i w sercu modląc się po polsku. Po obiedzie udaliśmy się na przechadzkę po mieście. Tamatawa jest drugim co do liczby mieszkańców miastem i tutaj jest największy port Madagaskaru, widoczny z Biskupstwa, jedyny, do którego mogą wpływać statki o ładowności nawet powyżej 20 tysięcy ton. Zamieszkuje tu około 60 tysięcy ludzi, chociaż to już trudno pojąć. Nie ma wysokich budowli, ludzie mieszkają przeważnie w jednoizbowych domkach parterowych, stojących bardzo gęsto. Numeracja domów nie istnieje, chociaż każda rodzina jest zobowiązana posiadać odpowiednią tabliczkę. Malgaszki potrafią oszczędzać nawet na tym i jeśli budują sobie nowy domek, to zabierają dotychczasową tabliczkę przeprowadzając się nawet do innej dzielnicy miasta. Swoje domy budują częściej z rozprostowanych beczek, rzadziej z trzciny. Całe miasto nie wydaje się zbyt rozległe, ale kursują tu autobusy miejskie. Można też dojechać taksówką lub pięciokrotnie tańszą riksą zwaną „pus-pus”. Jest to wózek na dwóch delikatnych wysokich kołach, z dwoma dyszlami, między którymi idzie lub biegnie rikszarz.

Bogatym w przeżycia radosne i smutne było nasze obłackie święto Niepokalanego Poczęcia NMP. Najpierw Brat Jan, malgaski zakonnik, poprosił jednego z nas, aby towarzyszył mu w drodze do ośrodka katechetycznego (bo każdy boi się wyjeżdżać z miasta w pojedynkę). Zawoził smutną wieść o śmierci dziecka katechety z „naszej” misji w Marolambo. Dwudziestosiedmiokilometrowy przejazd do szkoły katechetów pozwolił mi po raz pierwszy ujrzeć gęstą zielenią. Zaskoczyły mnie zwłaszcza bananowce i wąska droga pełna dziur i zakrętów. Wieczorem pojechaliśmy do domu prowincjalnego Sióstr Córek Bożej Mądrości. Koncelebrowało ponad dwudziestu księży, sióstr było jeszcze więcej. Msza Święta była po francusku ze śpiewem pieśni malgaskich. Po raz pierwszy uczestniczyłem we Mszy Świętej z tańcami religijnymi przy odpowiednim (jak wnioskowałem z rytmu) i całkowicie dla mnie niezrozumiałym śpiewie. Pierwsze wrażenie? Ich śpiew przypominał mi polską piosenkę o cyganach „Hej, tam pod lasem...”, bardzo rytmiczny, silnie akcentowany. Cztery siostry malgaskie przyniosły dary ofiarne na ołtarz, a na Pocałunek Pokoju wszyscy wzięliśmy się za ręce, skłaniając się w lewo i w prawo, w takt śpiewu. Podobnie było na zakończenie Mszy Świętej. Po tym cennym doświadczeniu, że można modlić się inaczej, przeszliśmy do sąsiedniego pokoju zabierając swoje krzesła, tylko malgaskie siostry usiadły na podłodze. Każdy z nas otrzymał talerz, widelec i szklankę i... zaczęła się druga część spotkania. Kiedy uporaliśmy się z jedzeniem trzymając wszystko w dwóch rękach, zaczęły się śpiewy po włosku, francusku, malgasku, pewien brat zakonny zaśpiewał po bretońsku, a my „Barkę” po polsku.

Następnego dnia brat René ze Zgromadzenia Świętego Gabriela pokazał nam szkołę zawodową dla chłopców. Każdego roku rozpoczyna naukę zawodu stolarza czterdziestu młodzieńców, po dwóch latach dwudziestu ją kończy, korzystając z ostatniej szansy zdobycia zawodu. Ci stolarze są bardzo cenieni, gdyż pomimo braku przygotowania teoretycznego i ogólnego (często bez jakiegokolwiek szkoły) zdobytą praktyką przewyższają absolwentów szkół państwowych. Wąskimi uliczkami i ścieżkami pomiędzy domkami biedoty brat René poprowadził nas do zabudowań Niższego Seminarium, które od ośmiu lat nie istnieje. W

opuszczonych Siostry Córki Bożej Mądrości prowadzą szkołę zawodową dla dziewcząt (to tutaj nazywa się „Centrum Kulturalne”). W trzech klasach dziewczęta uczą się zawodu krawiectwa, a chętne przez czwarty rok mogą się dodatkowo uczyć stenografii i pisania na maszynie. Tutaj nauka jest płatna, więc zgodnie z Ewangelią otrzymuje więcej ten, kto już dużo (pieniędzy na naukę) posiada. Wprowadzono nas do każdej klasy i przedstawiano jako misjonarzy przybyłych z kraju Papieża. Widząc mapę Europy poprosiliśmy, aby pokazano nam, gdzie jest Polska. Żadna z dziewcząt nie odważyła się spróbować, z wyjątkiem uczącej siostry zakonnej, Małgaszki, która spodziewała się znaleźć Polskę pod Paryżem... Nie śmiećcie się, gdyż wielu Polaków nie byłoby w stanie pokazać na mapie Afryki wielu państw. Siostry proponowały, aby po ukończeniu tej szkoły dziewczęta pojechały do Marolambo, z pewnością nie nudziłyby się, bo i tam pracy jest bardzo dużo - ale żadna przyszła krawcowa nie miała tak wielkiej odwagi.

W drugą niedzielę naszego pobytu w Tamatawie zostaliśmy zaproszeni na Mszę Świętą do dzielnicy Morarano, czyli po polsku „Spokojna Woda”. Kościół został nowowynbudowany wśród małgaskich chatek stojących gęsto przy wąskich uliczkach, którymi mogą przejechać tylko małe samochody osobowe. Ciężarówka musiałaby przeciskać się między płótkami niszcząc przynajmniej jeden po lewej lub prawej stronie ulicy. Tutaj zamieszkało pięć sióstr Urszulanek. Bezpośrednio po przybyciu do ich nowego domu siostry dały nam coś do picia, potem obejrzelśmy nową szkołę podstawową i mały ośrodek zdrowia. W kościele ludzie już zgromadzili się czekając na Mszę Świętą. Koncelebrujemy Mszę Świętą po małgasku, cicho czytając wszystkie teksty po francusku. Liczne były przemówienia rozpoczynające niedzielą modlitwę, ale my zrozumieliśmy tylko jeden często powtarzający się dźwięk, zbliżony do słowa „polski”. Bito też brawa. Niedzielne nabożeństwo trwało ponad półtorej godziny, ale nie zauważyłem, aby ktoś się nudził. Aktywnie uczestniczyli ludzie świeccy. Katecheci ubrani w alby wyglądali, jak lekarze. Zespół młodzieżowy śpiewał części zmienne. Żywiłowo, głośno i entuzjastycznie śpiewali ciasno siedzący w ławkach wierni, a najgłośniej śpiewały dzieci. Po Mszy Świętej z wyciągniętymi rękami podeszło wiele osób powitać nas osobiście, chociaż nic nie mogliśmy im powiedzieć, ani ich zrozumieć.

Siostra Aleksandra, Włoszka, ze Zgromadzenia Córek Bożej Mądrości, zawiozła nas do Ampangalana, gdzie wraz z małgaską zakonnicą pochodzącą z Marolambo, siostrą Honoriną, prowadzą coś w rodzaju spółdzielni produkcyjnej pod nazwą „Wioska Przyjaźni”. Z Biskupstwa jedzie się asfaltową ulicą wzdłuż plaży i po czterech kilometrach skręca w prawo, przez cały czas blisko Oceanu Indyjskiego. Chociaż jest to jeszcze miasto, nie ma ani asfaltu, ani przewodów doprowadzających elektryczność. Mija się kościół protestancki, podobnie mały, murowany kościół katolicki, przychodnię lekarską i dopiero teraz wjeżdża się do wioski. Na lewo dom sióstr, ale my wchodzimy do sierocińca stojącego na początku szerokiej, piaszczystej ulicy, przy której stoją jednorodzinne domki. W drugiej linii są budynki gospodarcze przystosowane także do hodowli świń, kaczek, kur, gęsi, a nieco dalej pola uprawne, na których pracuje setka mieszkańców tej wioski. Widzieliśmy też ich cmentarz: na prostych grobach złożone rzeczy używane przez zmarłego, np. buty, garnuszek, miska itp. Cmentarz jest miejscem świętym, więc nikt niczego nie ruszy i nie ma powodu obawiać się kradzieży. Widzieliśmy ludzi radośnie pracujących w ogrodzie warzywnym. Wszyscy mieszkańcy tej Wioski Przyjaźni (z wyjątkiem sióstr) są trędowatymi. Siostra Aleksandra założyła tę wioskę o specjalnym regulaminie. Trędowaci zajęci pracą nie rozmyślają o swoim nieszczęściu. Dzieci chodzą do pobliskiej szkoły ucząc się w jednej klasie z dziećmi zdrowymi. Nie ma już obawy o zarażenie się i nie musi być izolowany, jeśli chory na trąd regularnie przyjmuje lekarstwa. Każdy mieszkaniec otrzymuje lekarstwa, ubranie, ryż, oliwę i inne produkty konieczne do życia, a oprócz tego pieniądze lub coś w naturze jako sprawiedliwą zapłatę w zależności od przepracowanych dniówek. Na koniec weszliśmy do domu sióstr, gdzie był przygotowany dla nas placek, ale przed jedzeniem umyliśmy starannie ręce...

W Tamatawie jest dużo ludzi przybyłych z Europy lub Azji. Byliśmy na ich cmentarzu. Dużą część zajmują groby misjonarzy: kapłanów, braci i sióstr zakonnych. Na jednym z grobów są zawsze kwiaty, mimo że nikt nie zna osoby tam pochowanej. Przypadkowo kopiąc nowy grób natrafiono na dobrze zachowane ciało dziewczynki ubranej w strój pierwszokomunijny. Jeszcze

raz przyszedliśmy na ten cmentarz odprowadzając ciało 79-letniej Siostry Magdaleny, misjonarki ze Zgromadzenia Sióstr Świętego Józefa z Cluny, która na Madagaskarze pracowała przez 53 lata. Pogrzeb trwał dwie i pół godziny, koncelebrowaliśmy wśród dwunastu księży. Po Mszy Świętej wiele osób przemawiało żegnając zmarłą. Wszyscy żywo gestykulowali. Udział w pogrzebie wzięły też dzieci ze szkoły prowadzonej przez te siostry. Wszyscy uczniowie byli ubrani w jednakowe stroje. Zaskoczyła nas butelka rumu stojąca na plecionce położonej obok bramy cmentarnej. Taki tu zwyczaj.

Obok Biskupstwa jest katolicka szkoła prowadzona przez Braci Szkół Chrześcijańskich. Bracia też nas zaprosili do siebie. Rano w ich kaplicy domowej odprawiliśmy Mszę Świętą, a wieczorem zjedliśmy kolację przez nich przygotowaną. Nie mogę zapomnieć pokrajanej na małe kawałki kaczki, leżącej na półmisku wraz z nogami i dziobem. Uczniowie tej szkoły podstawowej hałasują w dwóch budynkach, z dwóch stron Biskupstwa. Do naszych pokoi bez względu na pogodę wciąż dolatywał gwar ze szkolnego boiska. Dzieci niezmordowanie grają w piłkę, nawet w czasie deszczu, a radość ze zdobycia bramki wyrażały też nauczycielki przez podskoki i wbieganie na boisko. Do takich szkół prywatnych mogą uczęszczać dzieci zamożnych rodziców, których stać na wysokie opłaty. Dzieci z rodzin biednych mogą uczyć się w szkołach państwowych, bezpłatnych, ale poziom tych szkół jest bardzo niski. Najbiedniejsi nie chodzą do szkoły, chociaż nauczanie jest obowiązkowe.

Pewnego pięknego dnia O. Malo, Montforten, zawiózł nas do swego ośrodka katechetycznego. Tu przez 10 miesięcy przebywa siedemnastu katechetów wraz z rodzinami. Każda rodzina ma do dyspozycji jeden mały domek, oprócz tego jest „żłobek” i przedszkole dla najmłodszych dzieci, kaplica, magazyn i dom ojca. Z ojcem Malo pracuje jeden z Braci ze Zgromadzenia Świętego Gabriela. Rodziny te uczą się żyć po chrześcijańsku i dobrze gospodarzyć na polu, aby potem mogli być wzorem dla mieszkańców ich wiosek. Obejrzeliśmy z bliska ich uprawy, poszliśmy nawet tam, gdzie pieprz rośnie. Kosztowaliśmy owocu świeżej kawy i papryki. Widzieliśmy plantacje kakao, ryż zasiany na wypalonym zboczach. Poszliśmy wzdłuż plastikowego wodociągu w górę do ujęcia wody. Obok strumyka zbudowano cementowy zbiornik, z którego woda dochodzi do ośrodka pod własnym ciśnieniem, więc nie trzeba instalować pomp. Wtedy też przekonaliśmy się, że przejście przez zarośla, które są nazywane buszem, poza ścieżkami jest niemożliwe, przejście ścieżką też jest trudne. Widzieliśmy także siostry zakonne uczące żony katechetów i ich starsze córki szycia i gotowania. Siostry mieszkają przy przychodni lekarskiej zbudowanej na sąsiednim pagórku. Ich dom jest wciąż otoczony chorymi, a także matkami z małymi dziećmi.

W drodze do Tamatawy zatrzymaliśmy się „przy małpach”. Nieco dalej od drogi, w głębi lasu, znajduje się kilka klatek z zółtami i lemurami. Lemury, to takie duże koty o bardzo długich ogonach. Wiele lemurów żyje na wolności dobrowolnie towarzysząc uwięzionym.

Byliśmy też u Ojca Andrzeja Toublanc (co znaczy po polsku „cały biały”), który jest proboszczem w Foulpoint, miejscowości odległej od Tamatawy o 62 km. Misja z ośrodkiem dla młodzieży jest zbudowana bardzo blisko oceanu. Do wody jest 57 metrów przy przypiływie i 96 metrów w czasie odpływu. Skorzystaliśmy z kąpieli bez lęku. Dwukilometrowej długości rafa koralowa chroni przed przyplnięciem rekinów. W tej misji zawsze jest się gościnnie przyjętym i nakarmionym obficie, zwłaszcza różnymi skorupiakami. Mnie najbardziej smakowały koniki morskie. Po obiedzie odpoczywaliśmy leżąc na matach wyplatanych z trawy i przyglądając się kokosom wiszącym nad naszymi głowami.

Czas na wnioski. Pada dosyć dużo, ale Tamatawa jest prowincją o największych opadach na Madagaskarze: średnio 3.400 mm rocznie. Temperatura w pokoju stała, +27°C, w południe poza mieszkaniem w cieniu +35°C, zaś w słońcu polski termometr sprężynowy doszedł do końca nie mogąc przekroczyć +65°C, a chciałby iść jeszcze dalej. Zieleni jest bardzo dużo, ale wydaje się przypalona, brudna, nie cieszy wzroku. Nie widać zieleni o polskim, żywym odcieniu z przełomu maja i czerwca. Dom biskupi i katedra została zbudowana w 1937 roku przy ulicy, która w tamtym czasie biegła tuż przy wodzie. Teraz ulica od wody jest oddzielona plażą o szerokości 50-80 metrów. Plaża służy dzieciom i młodzieży za boiska piłki nożnej. Z drugiej strony zatoki są magazyny portowe. Mierzeja zastępuje falochrony. Nikt nie traktuje poważnie zakazu kąpieli,

a tablice z odpowiednimi napisami są odnawiane natychmiast po wypadkach z rekinami. Te ludojady pływają nawet w wodach portu. Bliskość Oceanu sprawia, że powietrze jest bardzo wilgotne, przesycone solą i jodem, więc klucze i zamki pokryte są rdzą, a rdza zżera też samochody. Siedząc obok kierowcy wlewała mi się do obuwia woda z kałuż, przez które przejeżdżał nasz samochód. Katar nie atakuje, czasem trzeba wziąć podwójną porcję niwakiny zapobiegającej malarii, po polsku zwanej zimnicą. Kark trzeba chronić przed nasłonecznieniem. Ale to wszystko nie wpływa na nasz humor i samopoczucie, bo humoru nam nie brakuje. Nie brakuje nam też much i komarów, więc bez moskietera nocą spać nie można. Jeśli ktoś z nas napisze książkę o Madagaskarze, to już ma tytuł: „Tam, gdzie gorąco, jak w piekle”. Tylko że w piekle nie ma miłości.

Zaskoczyła nas troska Malgaczy o staranny ubiór. W mieście nie widać dużo ludzi oberwanych lub ubranych niedbale. I to zmusza nas także do odpowiedniego ubierania się. Tego nie znamy z listów naszych współbraci z Kamerunu. Nasza bielizna oddawana do prania na Biskupstwie jest gotowana i prasowana bardzo starannie.

Otrzymaliśmy już informację, że statek handlowy „Ville de Strasbourg” mający w swoich ładowniach nasze bagaże przybędzie dnia 15 grudnia, więc wykupiliśmy bilety na samolot do Mahanoro na dzień 19 grudnia. Niestety, dnia 15 grudnia zamiast statku dotarła do nas wiadomość, że marynarze chcą spędzić Boże Narodzenie na Madagaskarze, ale wcześniej zawiną do portu na sąsiedniej wyspie Reunion, więc w Tamatawie można się ich spodziewać dopiero dnia 21 grudnia. Nie czekamy. Przygotowujemy nasze walizki na dzień 19 grudnia. Nie zdołamy zabrać wszystkiego, gdyż do samolotu z Europy nadaliśmy po 30 kg. Teraz mamy prawo zabrać tylko po 20 kg, a trzeba wziąć warzywa i masło, gdyż takich produktów ponoć nie można kupić w Mahanoro.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Doświadczony misjonarz dał nam radę, jak uwolnić się od komarów. Można wejść pod moskieterę, można też zrobić inaczej. Wieczorem, bezpośrednio przed udaniem się do łóżka należy zapalić światło, a następnie otworzyć drzwi i okna. Kiedy wszystkie komary wleczą do mieszkania, wtedy należy szybko zgasić światło, zamknąć drzwi i okna i położyć się spać pod oknem na zewnątrz. Przed snem można zajrzeć przez okno, aby zobaczyć złe i zawiedzione komary, a rano spojrzeć na nie po raz drugi, aby poobserwować te stworzenia zupełnie wygłodniałe. Ponieważ w Polsce tego lata wody nie brakowało, komarów też było dużo, więc ta rada może Wam się też przydać, praw autorskich nie zastrzegamy.

Jest jeszcze trzeci sposób, ale tego nie zalecamy nikomu. Przed spaniem należy wypić szklankę mocnego alkoholu. Do północy człowiek nie czuje bólu przy ukłuciu komarów (przepraszam, komarzyc, bo tylko one piją ludzką krew). Po północy komarzyce upojone alkoholem z domieszką ludzkiej krwi już śpią i nie są zdolne do zadawania bólu.

\* \* \* \* \*